GÓRY SIMEN

Gonder, biuro Ethiopian Airlines. Kupujemy bilety z Lalibeli do Addis Abeby, ale już nie z Addis do Arba Minch – te możemy jedynie zabukować. Dlaczego? Bo mężczyzna nie może ich tutaj wydrukować. Ale bilety z Lalibeli do Addis wydrukuje. Czemu? Nie wiadomo. Ale może będę je mogła wykupić w Bahyr Dar. A jeśli nie, to w Addis już z pewnością. „Czy nasza rezerwacja wytrzyma tydzień?”, pytam, „bo wie pan, idziemy w góry i nie możemy wykupić biletów wcześniej”. „No nie wiem”, kręci głową mężczyzna, „może wytrzyma, ale nie mogę tego zagwarantować”. „A można coś zrobić, żeby jej nie wycofano?”. „Nooo, można postawić znaczek”. „No to świetnie, niechże pan go postawi!”.

Góry Simen, widok z okolic Sankaber Camp

Tekst i zdjęcia Ela Wiejaczka
www.4challenge.org

Na najwyższy szczyt Etiopii

Na trasie Sankaber - Gich Camp

Debark

Debark, jeden z przydrożnych barów. Próbujemy piwa opatrzonego etykietą ze świętym Jerzym przebijającym smoka i herbaty z orzechów arachidowych. Nie jest to czarna, aromatyzowana, ale wywar ze zmielonych orzechów, gęsty i oleisty. Pierwszy łyk – wyborne natężenie smaku, drugi – myśl: „Za tłusta", trzeci – „Posłodzić? Jeszcze gorzej…". Nie będzie to mój ulubiony napój, posmakuje mi natomiast *injera*, którą jemy tego dnia na kolację i tradycyjnie zaparzona kawa, wypijana małymi łyczkami przy dźwięku *masinko*, skrzypiec etiopskich. *Injera* jest charakterystycznym daniem w Etiopii – kwaskowaty, cienki i duży naleśnik z przefermentowanej mąki tef (miłka abisyńska) podawany jest z sosami i warzywami, również z mięsem – ale nie w Wielkim Poście, a to jest Wielki Post.

O poranku jest tu zimno, Debark leży na 2800 m. Ruszamy busem, mijamy bramę parku i wysiadamy dopiero w Sankaber Camp. Obóz leży na 3250 m n.p.m., ale jest przyjemnie – wysokie już słońce grzeje, zachwycają nas góry postrzępione, pofałdowane, pokryte niskimi krzewami – jakby przykucniętymi ze strachu przed stromizną – i wyschniętymi o tej porze trawami. Nad urwiskami, pośród słonecznych pędów, siedzą dżelady – małpy wąskonose, które poza Etiopią występują jeszcze tylko w Erytrei. Podchodzę do nich na metr, ale nawet nie przerywają jedzenia; wiedzą, że tu są pod ochroną. Abera, nasz przewodnik, kieruje ekipą – duże plecaki na muły, małe na plecy, kijki w ręce i idziemy. Nasz pochód zamyka strażnik uzbrojony w kałasznikowa.

Droga

Z tą bronią pozwoli mi się – ku zaniepokojeniu Artura – sfotografować. Artur wędruje ze mną i – w przeciwieństwie do mnie – wie, jak się posługiwać bronią. Ja nie potrafię nawet profesjonalnie jej trzymać, więc potrzebuję chwili na naukę, a potem jeszcze na opanowanie śmiechu – chcę mieć poważne zdjęcie. Ale to będzie dopiero jutro – dzisiaj maszerujemy sześcioosobową ekipą nieutwardzoną drogą (można nią dojechać aż do przełęczy Bwahit – pięć kilometrów za obozowisko Chennek) albo wąską ścieżką pośród suchych traw; a to przez zagajnik drzew obrośniętych długimi, zwisającymi porostami, a to przez łagodne, zielone doliny, a potem znowu przez wysuszone słońcem klify. Na głowach chustki, na nosach ciemne okulary, na twarzy kremy z filtrem. Abera prowadzi nas na punkt widokowy. Stajemy na skale, u naszych stóp rozpościera się rozpadlina, ze skał naprzeciwko spada cienka strużka wody – wodospad Jinbar. Na lunch mamy kanapki z jajkiem, nad naszymi głowami krążą orłosępy. Przechodzimy przez pierwsze osady – okrągłe chaty z kamienia kryte szpiczastą strzechą, na drogę wybiegają bose dzieci. Dorośli wychodzą nas poobserwować, ale nie pozwalają się fotografować. Chyba, że za pieniądze. Decydujemy się na zapłatę, bo jedna z kobiet ma nosidełko dla dziecka, jakie widuje się tylko w górach – skórzane, z długimi, ozdobnymi frędzelkami.

Obóz Gich (3600 m n.p.m.) rozbity jest na równinie porośniętej krótką trawą, na której pasą się konie i muły. Kuchnia to tylko okrągłe, solidnie wykonane zadaszenie, nasze namioty stoją tuż obok, między namiotami stół, na stole popcorn i termosy. Otwieram jeden z nich i w pierwszej chwili nie dowierzam zmysłowi węchu: kawa, prawdziwa, etiopska, parzona kawa! Od tej pory w chwilach zmęczenia będę myślała jedynie o tym, że taka sama czeka w kolejnym obozie. Kolacja wegetariańska, ale królewska – szpinak z cebulką, pieczone plasterki ziemniaków i marchewki, grzyby, spaghetti i sos ze świeżych pomidorów. Z obozowiska ruszamy po śniadaniu

(jajecznica z dodatkiem cebuli, pomidorów i ostrej, zielonej papryki) o ósmej trzydzieści. Idziemy przez rozległą równinę, porosłą wielkimi lobeliami, przewyższającymi nas o głowę. Słońce rozpryskuje się na suchych trawach i na naszych twarzach. Z łagodnych stoków wystrzeliwują w górę ostre skały, trochę dalej rozpościera się plateau o ścianach pionowych, jakby ciętych nożem. Patrzę pod stopy: grafitowo-brązowo-beżowe podłoże, ciemnozielone, przykurczone porosty na kamieniach, żółte, wyniosłe trawy – upajająca feeria barw. Chwila wspinaczki – ostre podejście na blok skalny, a zaraz znowu wypłaszczenie i wielka przestrzeń. Podczas przerwy Abera siada na brzegu skał i woła mnie do siebie. Ostrożnie spuszczam nogi w przepaść – pod nami kilkaset metrów urwiska. Nie wiem, co to lęk wysokości, ale po paru minutach spoglądania w dziurę zaczyna lekko kręcić mi się w głowie.

Czekolada w poście

Przechodzimy przez Imet Gogo (3926 m), lunch jemy na Inatye (4070 m), najwyższym dzisiaj punkcie. Podczas przerwy obiadowej spotykamy trzech chłopców – siedzą pośród skał, jeden z nich gra na prostym, drewnianym flecie. Danusia podchodzi i daje im Snickers'y, dzieci odwijają je, po czym oddają słodycze. „Dlaczego?", pytamy Abery. „Zobaczyły czekoladę, w czekoladzie jest mleko, a teraz jest post i nie jada się niczego, co pochodzi od zwierząt". Do obozu Chennek (3620 m n.p.m.) docieramy przed piątą, między namiotami krążą dżelady. „Nie, one niczego nie kradną", uspokaja nas przewodnik. Parę minut później słyszymy podniesione głosy - ktoś próbuje zatrzymać małpę, która właśnie uciekła z T-shirtem.

Na podwieczorek dostajemy prażony jęczmień, orzeszki arachidowe i maślane herbatniki, na kolację zupę ogórkową, ziemniaki ze szpinakiem i cebulą, omlet, makaron, surówkę i gotowaną kapustę. Wieczorem długo siedzimy pod zadaszeniem, na środku pali się ognisko, dym gryzie w oczy. Są z nami przewodnicy i kilka Hiszpanek. Ktoś zarządza konkurs muzyczny, wyśpiewujemy „Sokoły" i wygrywamy, potem uczymy się tańca amharskiego. Siedzę pomiędzy Martą a Ewą, potrząsam ramionami, próbuję naśladować energiczne ruchy głowy, które pokazuje nam Abera. Artur śmieje się z nas, że tańczymy jak kurczaki.

Kolejnego dnia ruszamy jak codziennie koło ósmej rano, idziemy ścieżką, która to oddala się, to zbliża do skalnych przepaści. W dole rysują się ostre tarasy skalne pokryte subtelnym dywanem niskiej trawy. Główną drogą, jeden za drugim, idą muły niosące na grzbietach nasz dobytek. Dzisiaj też jest trochę wspinaczki – wejście na skalny grzbiet i zejście, nie więcej niż kilkadziesiąt minut. Za nami snują się dzieci – bose, obszarpane. Najczęściej, zanim je widzę, słyszę ich cienkie głosy wołające „*salam*!". Cieniutkie rączki, zakończone małymi, czarnymi od ziemi dłońmi, wyciągają się w naszą stronę. Dziecięce palce przywierają na krótki moment do mojej dłoni, są zaskakująco ciepłe. Ja, ubrana w trzewiki, długi spodnie, ciepłą kurtkę i rękawiczki, one w jednej podkoszulce i boso, skaczące po grudach ziemi zwinnie jak kozice. Tym, które wydają nam się najbiedniejsze, dajemy przywiezione z Polski trzewiki.

Schodzimy w dolinę przez wioskę Chiro Leba aż do rzeki Mesheha (2800 m n.p.m.), a potem znowu do góry. Dzisiaj jest kryzysowy dzień – dziewiętnaście kilometrów, osiem godzin w drodze. W dolinie cała grupa traci zapał, ale ruszamy dalej. Ostatnia szansa na odzyskanie sił - wkładam do uszu słuchawki i włączam żywą muzykę Balkan Beat Box. Działa! W ciągu ostatniej godziny drogi zamiast tracić siły, paradoksalnie, odzyskuję je. Nasz kemping, Ambiko, leży na 3200 m n.p.m., co oznacza, że przez trzy dni snuliśmy się, wchodząc i schodząc, na wysokości pomiędzy trzy a cztery tysiące metrów. Taki tryb wędrowania sprzyja aklimatyzacji, dlatego wszyscy czują się świetnie. Artur odkrywa, że w tym odległym zakątku można dostać… piwo! W każdym obozie była woda do mycia, ale tutaj jest prawdziwy strumyk!

Na szczyt

W ciemności, o czwartej nad ranem, jemy śniadanie, trzy kwadranse później wychodzimy. Na głowach czołówki, na ramionach polary, ale szybko okazuje się, że jest ciepło. Słońce wychodzi, kiedy idziemy jedną z wąskich ścieżek przez polanę porośniętą lobeliami –

Wioska muzułmanów

Na trasie Gich - Chennek Camp

takich równoległych dróżek jest więcej, są wydeptane przez zwierzęta chadzające tędy w okresach deszczu. Przecinamy główną drogę, słońce oświetla bursztynowo stoki ponad nami, na rozległej polanie obsypanej kamieniami siadamy na śniadanie: kanapka z tuńczykiem i warzywami. Przemierzamy krajobraz marsjański – płasko, rozlegle, pusto – jesteśmy już dość wysoko, roślinność została niżej. Jeszcze pół godziny wspinaczki po skałach i… stajemy na szczycie! Poza nami tego dnia Ras Dashen (*Ras Dejen*, 4533 m n.p.m.) zdobył tylko jeden Francuz, więc możemy nacieszyć się widokami w samotności. A jest się czym rozkoszować – błękit nieba rozpostarty ponad łagodnymi wypiętrzeniami w kolorach mlecznej kawy, miedzi i szarości, na niebie kilka podłużnych, delikatnych chmur, zawieszonych jakby tylko dla urozmaicenia zdjęć.

Pół godziny przed południem zaczynamy zejście. Czuję zmęczenie, ale jednocześnie ociągam się z powrotem do obozu – jest pięknie! Obiecuję sobie, że jeszcze tu wrócę – i wiosną, i w jesieni, kiedy góry pokryte są bujnymi, zielonymi włosami traw. W Ambiko jesteśmy o szesnastej. Tego dnia przeszliśmy dwadzieścia trzy kilometry, ale namawiam resztę grupy na ostatnią wycieczkę, do pobliskiej wioski. Mamy jeszcze dwie pary butów, zamienimy je na pozwolenie wejścia do chaty w górach. Gościny udziela nam pastor. W chałupie jest ciemno, cały dobytek rozmieszony na podłodze albo na prowizorycznych, wąskich półkach. W kolejnym domu jedna kobieta przygotowuje kawę, druga karmi piersią dziecko. Na wysokiej, drewnianej platformie, śpi mężczyzna. Jest chory i pyta, czy mamy jakieś leki. Pod jego łóżkiem mieszka koń.

Kolejnego ranka ruszamy z powrotem, mamy do przebycia tę samą trasę, co trzeciego dnia. Wynajmujemy jednego muła, dla tych, którzy będą potrzebowali po drodze odpocząć. Ostatecznie jadą na nim kobiety – ja, Danusia, Ewa i Marta, mężczyźni (Marian i Artur) uparli się, że pokonają trasę pieszo. Jazda na mule to nie tylko odpoczynek, ale i nauka zaufania – że na wąskiej ścieżce zwierzę nie popełni błędu, nie postawi nogi krzywo i nie potoczy się w dół. Delektuję się nowym doświadczeniem – zdobywam wysokość, a nie łapię zadyszki, pnę się do góry, ale mam czas, żeby spojrzeć za siebie, w dolinę. Wędrówka trwa siedem godzin, potem jeszcze prawie trzy godziny busem do hotelu i już świętujemy, dostajemy nawet certyfikaty zdobycia najwyższej góry Etiopii.

Epopeja bankowa

Bahyr Dar, biuro Ethiopian Airlines. "Witam, mam rezerwację na sześć biletów z Addis Abeby do Arba Minch, chciałabym za nie zapłacić", mówię od progu. „To będzie 4074 birry", słyszę. „Nie mam birrów, chciałabym zapłacić dolarami". „Przepraszam panią ogromnie, ale to niemożliwe. Nie mamy maszyny do sprawdzania autentyczności banknotów, dlatego przyjmujemy tylko birry albo płatność kartą". Karta nie działa, a banki są zamknięte, bo niedziela, przyjdziemy jutro.

Poniedziałek rano. Wchodzę do banku. „Gdzie mogę zamienić pieniądze?", pytam przy kontuarze. „Kasa numer 1". Podchodzę, czekam, aż ci, którzy stali przede mną, zdeponują grube pliki banknotów. Kiedy nadchodzi moja kolej, mężczyzna pyta o paszport, a potem podaje go, razem z gotówką, mężczyźnie, który stoi za nim. Ten powoli odwraca się, podnosi z podłogi kabel i wsuwa wtyczkę w kontakt. Tak, dopiero uruchamia tester banknotów. Dolary są prawdziwe – mężczyzna podaje je kolejnemu urzędnikowi, który kiwa głową, żebym szła w jego kierunku. Przesuwam się w lewo, podobnie jak on, on zatrzymuje się, więc i ja. „Adres", słyszę. Podaję nazwę hotelu. „Który pokój?". „Dwadzieścia dwa". Kiedy kwit jest gotowy, mężczyzna rzuca krótkie: „Kasa numer 4". Dziękuję grzecznie i znów posuwam się w lewo. Przed kasą kolejka – tu realizują przelewy Western Union, trzeba czekać. Mój papier nie dotarł jeszcze do kasy, leży na stole za nią. Jakaś dziewczyna go przegląda, wyrywa

Wodospad Jinbar

Rozpoczynamy trekking; okolice Sankaber Camp

Na trasie Gich - Chennek Camp

jedną kartkę – pewnie kopię – i resztę podaje przez okienko kasjerowi. Mężczyzna, piąty element tej skomplikowanej akcji, wypłaca mi należność. Wracam z birrami do biura Ethiopian Airlines, ale mężczyzna mówi: „Przykro mi, ale teraz nie wydrukujemy pani biletów, zepsuła nam się drukarka. Może pani teraz zapłacić, a bilety wydrukują pani na lotniku w Addis". „Nie, wie pan, wolałabym, kiedy już płacę, mieć bilety w ręce. Mogę wykupić je w Addis, tylko czy rezerwacja dotrwa?". Mężczyzna sprawdza coś w systemie. „Proszę się nie martwić – nawet jeśli nie, jest jeszcze pięćdziesiąt jeden wolnych miejsc. Jeśli anulują pani rezerwację, zrobi pani następną. Ale może jeszcze drukarka nam zadziała, proszę przyjść później, po przerwie na lunch (12.30-14.00)". Wracamy po południu. Podchodzę do stanowiska. Mężczyzna wyciąga do mnie rękę, w której trzyma wydrukowane bilety. „Udało się", mówi. Nie wierzę własnym oczom…

Informacje praktyczne

Przepisy wizowe: Wiza w Etiopii jest wymagana, możemy ją kupić na lotnisku w Addis Abebie, cena 20 USD, ważna 30 dni. Paszport musi mieć ważność 6 miesięcy. Wydawanie wiz na lotnisku czynne 24/7.
Czas: Strefa czasowa GMT+3.00
Pieniądze: W Etiopii posługujemy się birrami, z Polski najlepiej zabrać dolary albo euro. Część pieniędzy można wymienić już na lotniku, kurs ten sam co w kantorach. Zamiany w banku nie polecam – jest czasochłonne i skomplikowane.
Elektryczność: 220 lub 240V / 50 Hz, częste przerwy w dostawie prądu, ale lepsze hotele mają generatory.

Mieszkańcy jednej z muzułmańskich wiosek

Góry Simen w pięć dni:

Trekking w Górach Simen możemy zacząć od Debarku (2800 m), wyjść drogą gruntową przez bazar, przeciąć pola i rozpocząć wspinaczkę na zachodni płaskowyż. Aby dostać się do obozu Sankaber (3250 m) potrzebujemy około 6 godzin. Trekking można skrócić i rozpocząć go w Sankaber albo Gich Camp, dokąd podjedziemy samochodem. Przez wszystkie dni wspinaczki na przemian zyskujemy i wytracamy wysokość, dzięki czemu przystosowujemy się do rozrzedzonego powietrza. Raczej nie grożą nam symptomy choroby wysokościowej.
Dzień I – Sankaber Camp (3250 m) – Gich Camp (3600 m), 6 godzin, 13 km. Z obozu wychodzimy ścieżką wzdłuż wąskiego grzbietu, schodzimy w dolinę rzeki i znowu się wpinamy. Nie opuśćmy punktu widokowego na wodospad Jinbar! Jeszcze jedno zejście, wejście i jesteśmy w obozie.
Dzień II - Gich Camp (3600 m) – Chennek Camp (3620 m), 8 h, 19 km. Idziemy drogą północną, omijając nieutwardzoną drogę dla samochodów. Przechodzimy przez Imet Gogo (3925 m), skąd rozpościera się wspaniały widok, a następnie przez Inatye (4070 m). W tej okolicy możemy wypatrywać dżelad, orłosępów i koziorożca abisyńskiego.
Dzień III - Chennek Camp (3620 m) – Ambiko Camp (3200 m), 8 h, 19 km. Po około 1,5-2 godzinach trekkingu dochodzimy do punktu widokowego, skąd po raz pierwszy można zobaczyć Ras Dashen (4533 m). Strome zejście w dół, przez wioskę Chiro Leba (3300 m) aż do rzeki Mesheha (2800 m), a potem ostre, godzinne podejście do obozu. Długi i dosyć wyczerpujący dzień.
Dzień IV – Ambiko Camp (3200 m) – Ras Dashen (4533 m) – Ambiko Camp, 10 h, 23 km. Wyjście o świcie w górę doliny przez wioskę Mizma (3500 m), ostre podejście na grzbiet. Ostatni etap to przejście wąwozem pomiędzy klifami aż do stosu kamieni znaczących szczyt. Schodzimy do obozu tą samą drogą, potrzebujemy na nią około 4 godzin.
Dzień V – Ambiko Camp (3200 m) – Chennek Camp (3620 m), 19 km, 7 h. Ta sama, co trzeciego dnia, trasa. Podobnie jak na każdym odcinku trekkingu można wynająć muła. O ile nie przyjeżdża po nas samochód, z Chennek można złapać ciężarówkę do Debarku. Pamiętajmy o podziękowaniu dla przewodnika, strażnika i poganiacza mułów, dobrze widziany jest napiwek.

Dżelady, małpy o krwawiącym sercu